

Samochodem z Wilna do Florencji – lato 1933 r.

List Zofii Łopatto¹ do siostry Zinaidy² opisujący podróż z Wilna do Florencji (około 2100 km) odbytą Fiatem 522 koloru granatowego prowadzoną przez Michała Łopatto³, brata Zofii i Zinaidy.

Florencja, 29 sierpnia 1933r.

godz. 9 rano

Kochana Zinaido!

Dzięki Bogu jesteście już w domu i nawet odpoczęliśmy. Przyjechaliśmy w niedzielę o szóstej wieczorem, wczoraj rano Michał nadał telegram, a ja cały dzień chciałam do Ciebie napisać, ale nie miałam siły, bo za bardzo mnie roztrzęsło, więc prawie cały dzień leżałam i spałam, ale dzisiaj już czuję się doskonale i jak gdybym wcale nie podróżowała! Tu jest cudownie pod każdym względem, teraz siedzę na leżaku w ogrodzie, zupełnie nie jest gorąco, powietrze rześkie i czyste, a jakie owoce! W ogrodzie rośnie drzewo z ogromnymi i bardzo smacznymi śliwkami. Wczoraj rano Michał jak tylko wstał, jeszcze w piżamie, wszedł na drzewo i zebrał bardzo dużo, tak, że dzisiaj spróbujemy usmażyć konfitury, być może się uda, a jeśli nie konfitury, to chociaż powidła. Najlepsze winogrona kosztują 60 gr. za kilo, brzoskwinie 1 zł za kilo, wielkie i bardzo smaczne. Jednym słowem, raj na ziemi po prostu. Mieszkanie bardzo dobre, wygodne, idealna czystość i porządek, ładne meble. Umieszczono mnie w pokoju Esteriny, a ona przeniosła się do Marisy. Ralfino jest rzeczywiście bardzo ładny i rasowy, dosyć posłuszny i zupełnie niemęczący,

¹Autorka listu, Zofia Łopatto (ur. w 1899 r. w Wilnie, zm. w 1982 r. we Wrocławiu), była najmłodszą z sześciorga dzieci Raisy z Juchniewiczów i Józefa Łopatto. List ten napisała po rosyjsku, bowiem tego języka używali w kontaktach z bratem Michałem, który język polski znał słabo, chociaż aż do czasów powojennych zachował obywatelstwo polskie.

²Zinaida Łopatto (ur. w 1894 r. w Wilnie, zm. w 1947 r. w Nysie), czwarta z rodzeństwa, pracowała jako urzędniczka w magistracie w Wilnie. Odwiedziła brata we Florencji w 1931 r.

³Michał Łopatto (ur. w 1892 r. w Wilnie, zm. w 1981 r. we Florencji) – historyk literatury rosyjskiej, poeta i pisarz, wyjechał z Odessy w 1919 r. do Stambułu, skąd w 1920 r. do Florencji, gdzie założył firmę importującą skórki futrzane. Po unieważnieniu małżeństwa z Nadzieją Babadżan ożenił się z Marią Luisą Landucci, zwaną Marisą (ur. w 1904 r. w Lucce, zm. w 1975 r. we Florencji). Do Wilna zaczął przyjeżdżać od 1929 r. W końcu czerwca 1933 r. przywiózł Marisę, by przedstawić ją rodzicom i rodzeństwu.

teraz trzymają go dosyć srogo. W mieście jeszcze nie byłam, może pójdę pod wieczór. Na obiedzie będzie matka Marisy, która mieszka u swojej ciotki. Jutro wybieramy się do teatru w ogrodzie (Pitti) na „Cyrulika sewilskiego”. W niedzielę, być może pojedę wraz z Esteriną do Wenecji na jeden dzień, ona także jeszcze nie była tam. Jest tani pociąg na jeden dzień, bilet III klasy tam i z powrotem kosztuje tylko 22 liry. Jeśli się rozmyślimy, to może pojedziemy samochodem do Viareggio, też na niedzielę. Postanowiłyśmy z Marisą nie jechać na dłużej nad morze, bo to by drogo kosztowało, a teraz i tutaj jest dobrze. Esterina też mi się podoba, prawdopodobnie jest tak samo dobra jak Marisa. Troszczy się o mnie bardzo i odnoszę wrażenie, że trochę się mnie krępuje. Jest ładna i efektowna. Wczoraj wieczorem, jak tylko Michał powiedział, że nas zaprowadzi do teatru, natychmiast zaczęły rozważać, w co się ubierzemy. Oglądały moje toalety i zdecydowały, że ja nałożę zieloną jedwabną, potem Esterina pokazała swoje stroje, ona także ma bardzo ładne i nowe suknie, zdecydowała włożyć czerwoną, a Marisa – czarną. Marisa opowiada Esterinie o wszystkim i o wszystkich. Wspomina wszystkich bardzo serdecznie, ale wyobrażam sobie jak jej musiało być trudno u nas, po tutejszym komforcie i takim mieszkaniu.

A teraz postaram się opisać naszą podróż: po drodze zajechaliśmy do Wandy⁴ i zostawiliśmy jej kwiaty od Gitiela. Potem wszystko było dobrze, ale gdy się ściemniło, okazało się, że zepsuła się elektryczność i wobec tego musieliśmy jechać bardzo wolno i ostrożnie bez świateł, dopóki wreszcie nie dobrnęliśmy do Grodna, gdzie jakoby naprawili, zjedliśmy w kawiarni i o 9-tej wieczór pojechaliśmy dalej do Białegostoku, ale niestety, światła znowu zgasły, więc wróciliśmy do Grodna i przeno-cowali w hotelu „Europa” (nazwanego tak chyba na pośmiewisko). Rano we wtorek wypiliśmy herbatę z kybynami i pojechaliśmy dalej. Ale wydaje się, że nie powinno się wyjeżdżać w poniedziałek, bowiem przygodom nie było końca!

Dobrze, że przyjmowaliśmy to spokojnie i „nie traciliśmy humoru”. I tak kiedy już ujechaliśmy

⁴Wanda z domu Dawidowska, córka Aleksandra i Elżbiety z Turów, wybitnej działaczki społecznej w Wilnie, żona brata autorki listu, Aleksego (ur. w 1890 r. w Wilnie, zm. w 1968 r. we Wrocławiu), mieszkała na Pohulance 41.

spory szmat drogi, okazało się, że przeoczyliśmy skręt na Białystok i jedziemy do twierdzy Osowiec. Wracać już się nie opłacało, więc pojechaliśmy dalej. Droga za twierdzą była bardzo dobra i nadzwyczaj piękna, ale nadłożyliśmy 40 km. W Ostrowie obiad i o piątej popołudniu przyjechaliśmy do Nadzi Z.⁵ Przyjęła nas bardzo serdecznie i nie pozwoliła Michałowi i Marisie pojechać do hotelu, odstępując im swoją sypialnię, sama z Olesiem⁶ przeszła do gabinetu, a ja spałam w służbowce służącej Malwinki (zupełnie przyjemnej i czystej). W ogóle bardzo nam się podobało ich mieszkanie, bardzo sympatyczne i przytulne, a przy tym nowoczesny komfort i czystość. Rozmawialiśmy długo z Nadią i nie zdążyliśmy się położyć, jak usłyszałyśmy czyjeś kroki i dzwonek. Zupełnie nieoczekiwanie przyjechał Ananiasz z Zakopanego⁷. Bardzo się zdziwił zobaczywszy w przedpokoju kapelusz Michała, zupełnie się nie spodziewał takiego najścia, nie było dla niego biedaka już łóżka, więc nocował na podłodze, w gabinecie. Bardzo nam było z tego powodu przykro. Nadzia wybiera się we wrześniu do Trok i Wilna, zaprosiłam ją do nas – dopóki rodzice będą w Szyłelach, może zajmować ich sypialnię.

We środę rano, nie zważając na ulewny deszcz, ubraliśmy się ciepłej i pojechali z Warszawy na Katowice, ale wkrótce się okazało, że most został rozmyty, nie można nim przejechać, zawróciliśmy więc z powrotem na Kraków. Nie było innego wyjścia. Na obiad dojechaliśmy do Kielc. Tam naprawiano samochód do 6-ej wieczór za 60 zł i około północy dojechaliśmy do Krakowa zmęczeni i senni.

Zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu, w którym zatrzymywałam się jadąc do Rabki. Droga koło Krakowa, jak by się to nie wydawało dziwne, okazała się niedobra i do tego deszcz utrudniał jazdę. We czwartek rano, w czasie, gdy Marisa ubierała się, pochodziliśmy z Michałem po mieście, pod deszczem. Michałowi spodobał się Kraków, a Marisa cieszyła się, że wreszcie zobaczyła europejskie miasto. Na obiad dojechaliśmy do Cieszyna, zjedliśmy na polskiej stronie (wciąż jeszcze pod deszczem), potem przejechaliśmy granicę, gdzie – nie wiadomo dlaczego – długo nas zatrzymano (po cze-

skiej stronie) oglądając nasz bagaż. W Czechach drogi są bardzo dobre, więc walizki nie zjeżdżały na mnie co chwila. Pod wieczór dojechaliśmy do Brna, trochę odpoczęliśmy i zjedliśmy kolację w dobrej (i drogiej!) restauracji, około dziewiątej wyjechaliśmy z zamiarem przenocowania w Wiedniu, ale wkrótce znów zgasły światła i w jakimś małym miasteczku zajechaliśmy do mechanika, gdzie zebrało się kilku Czechów, długo się naradzali, nie mogąc określić, dlaczego reflektory nie świecą. Wzięli sporo za nową żarówkę i niby-to naprawili. Gdy dojechaliśmy na granicę o 23.30, trzeba było się spieszyć, bo po północy nie można przejechać. Austriacy nas nie zatrzymali, aliści znów zgasły reflektory! A do Wiednia pozostało jeszcze 120 km. Przez pewien czas jechaliśmy za innym samochodem, my z Marisą spałyśmy, a Michał też padał na nos. Musieliśmy się zatrzymać i przespąć w samochodzie. Chcieliśmy stanąć na nocleg w jednej z mijanych wsi, ale policjant wyjaśnił nam, że po północy wszyscy śpią i nikt nas nie wpuści. Obudził nawet właścicieli w jednym miejscu, prosząc o nocleg dla nas, ale nie było wolnych pokoi. O świcie Michał pojechał dalej, ale 7 km przed Wiedniem skończyła się benzyna, więc znowu stanęliśmy! W końcu o 6-tej dojechaliśmy do hotelu „Bellevue” w Wiedniu, w którym oni się zatrzymywali w drodze do Wilna. Cały nasz bagaż wzięto do pokoi (do tej pory pozostawał w samochodzie), wypiliśmy kawę, odświeżyliśmy się i położyli spać. Wstaliśmy o 11-ej, ubrali i pojechali autem do miasta. Przejechaliśmy się po głównych ulicach, pospacerowaliśmy i zrobili fotografie. Zjedliśmy obiad w dobrej restauracji (3 zł bardzo dobry obiad z 3 dań), a potem poszliśmy do sklepów. Kupiliśmy dla Esteriny bardzo ładny sweter, pończochy i różne drobiazgi. Ja kupiłam zielone okulary i puderniczkę do torebki, czarną, płaską, niedużą za 4,50 zł.

O czwartej wróciliśmy do hotelu, gdzie znowu odbyło się generalne naprawianie auta, a my poszliśmy spać. Z powodu tej nocy spędzonej w samochodzie brakło nam sił na zwiedzanie miasta.

O siódmej znowu pojechaliśmy do miasta (nasz hotel jest w centrum koło dworca Franciszka Józefa) do bardzo pięknej, wprost wspaniałej restauracji, w której my z Marisą zjadliśmy sznycle po wiedeńsku a Michał bardzo smaczną rybę węgierską. Kosztowało to stosunkowo niedrogo, cała kolacja na troje, ok. 20 zł i było bardzo przyjemnie. W Wiedniu chodziłam w kostiumie, a Marisa w szarej sukience. Jak będą gotowe fotografie, przyślę.

⁵Nadzieja z Jutkiewiczów Zajączkowska (ur. w 1901 r. w Trokach, zm. w 1983 r. w Warszawie), żona profesora Ananiasza Zajączkowskiego. W 1932 r. zamieszkała na warszawskim Żoliborzu przy ul. Kozielnickiego 8.

⁶Aleksander Zajączkowski (ur. w 1930 r. w Warszawie, zm. w 1988 r. w Górze Kalwarii), syn Nadziei i Ananiasza.

⁷Gościł kilka dni u prof. dr. Tadeusza Kowalskiego w Kościelisku (wiatr halny skrócił wizytę).

Po kolacji postanowiliśmy pojechać odpocząć. W czasie podróży pościel daje więcej radości niż kino i inne rozrywki. W sobotę rano znów w drogę, przez Sommering, bardzo pięknie, ale bardziej męcząco, tak więc, gdy dojechaliśmy do Wertersee, nad to wspaniałe jezioro, gdzie oni się zatrzymywali i fotografowali w drodze do Wilna, to ja już byłam zupełnie rozbita, więc po wypiciu herbaty w kawiarni na brzegu jeziora pojechaliśmy dalej, byle szybciej przejechać granicę i odpocząć. Na granicy odprawiono nas bardzo szybko, pobrano tylko 50 lir cła za napoje, konfitury i czekoladę. Marisa i Michał poczuli się jak w domu i poweseli, aliści do hotelu dojechaliśmy dopiero o północy, a więc w niedzielę z trudem wstałam o 8-mej rano. Michał przyniósł nam na śniadanie wspaniałe winogrona i brzoskwinie. Potem, jako że wszyscy chcieliśmy możliwie szybko znaleźć się w domu, postanowiliśmy nie zatrzymywać się w Wenecji i jechać prosto do Florencji, aby ostatecznie o 6-tej wieczorem dobrnąć do domu. We Włoszech przejechaliśmy przez szereg małych miasteczek, a potem Bolonię. Znasz drogę z Bolonii, bardzo ładna, ale niełatwa. Po prawdzie to mnie nie mdli, a tylko męczy, bo trudno jest tyle czasu siedzieć, aż do bólu wewnątrz, a mimo to myślę, że tak długa podróż pociągiem byłaby jeszcze bardziej męcząca, a w ten sposób chociaż odpoczywaliśmy nocą i cały czas oddychaliśmy świeżym powietrzem, a ja spałam w aucie.

Jesteśmy Ci bardzo wdzięczni za poduszki, bardzo się przydały, chociaż i tak cała jestem w siniakach.

Wyobrażam sobie, że się uśmiejecie, że tak drobiazgowo opisuję wszystko, ale przecież zobaczymy się nie tak prędko, więc mogłabym zapomnieć do przyszłego roku o naszych wszystkich przygodach.

10 godz. wieczór

Przyjście *maman* przeszkodziło mi w skończeniu listu, potem do obiadu wypiliśmy wino (kwaśne z wodą bardzo dobrze orzeźwia), do makaronów pije się z przyjemnością, tak, że po obiedzie położyłam się na parę godzin, a pod wieczór razem z Esteriną wybraliśmy się nareszcie do miasta. Marisa została z mamusią i nawet teraz obie cały dzień zajmują się gospodarstwem, bowiem zwolniły służącą, a nowa nie umie gotować i brak jej doświadczenia.

Teraz, po kolacji, wypiliśmy bruderszaft z Marią i Esteriną. One nie znały tego zwyczaju. To, co tu jest nieprzyjemne, to tylko komary. Cała jestem

w pęcherzach i nawet twarz mi pokąsały. Są małe i prawie niezauważalne, ale gryzą gorzej od naszych. Marisa ma całą twarz w wysypce, tylko Esteriny nie kęsa, coż to za niesprawiedliwość!

Otrzymałam Twoją pocztówkę, bardzo dziękuję. „Miły Wicia” zupełnie stracił głowę, bo Marisa prosiła wysłać pocztówkę (przed naszym wyjazdem), w której zawiadamia Esterinę o moim przyjeździe i podaje różne rozporządzenia, a on ją wysłał dopiero po dwóch dniach po naszym wyjeździe! Wydaje się, że niczego nie zapomniałam, tylko Michał zapomniał wziąć kaszę gryczaną, chcemy poprosić Wicia, żeby przywiózł. Przyślij mi, proszę, dokładny przepis na mazurek orzechowy, jedzą go z przyjemnością i apetytem, więc obiecałam, że im zrobię taki sam tutaj, a także dokładnie dowiedz się u Marty, jak ona robi placki ziemniaczane. Zapomniałam o to zapytać przed wyjazdem. Jeśli zobaczysz Fleigelów, to przekaz im moje pozdrowienia i przeprosiny, że nie zdążyłam zająć do nich przed wyjazdem. Marisa prosi, żebym napisała, że jak dojdzie do siebie, to napisze długi list, a na razie przesyła wszystkim najserdeczniejsze pozdrowienia, Esterina też. Marisa zachwyca się wszystkimi, zwłaszcza dziećmi i wciąż żałuje, że nie mogła wziąć ze sobą Romeczka. Wciąż powtarza, że on jest bardzo ładny. *Mamma* zupełnie *comme il faut*⁸ i nie podobna do artystki, niezbyt ładna, skromna, miła i opanowana, ale kiedy wszystkie trzy panie mówią na raz, więcej krzyku niż u Zajączkowskich.

No, to na dzisiaj wystarczy, postaram się pisać często. Całuję was wszystkich, kochani moi, bądźcie zdrowi i piszcie do mnie o wszystkim. Jutro kupię pocztówki i wyślę do wszystkich krewnych, dzisiaj nie zdążyłam. Specjalne ucałowania dla Marianki, jak ona się czuje? Marisa ma piękną lalkę, jeśli chcesz, możesz oddać Marianne⁹ naszą czarną lalkę.

Całuję *Zosia*

z jęz. rosyjskiego przetłumaczyli
Emilia i Emanuel Łopatto

⁸jak się należy (red.).

⁹Marianna Zajączkowska-Abrahamowicz (ur. w 1925 r. w Wilnie, zm. w 1990 r. w Krakowie), córka najstarszej z sióstr Łopatto, Marii i mecenasa Izaaka Zajączkowskiego, słynącego z bardzo pięknego i donośnego głosu (jak zresztą i pozostali bracia Zajączkowscy).